

MRO CZYNA
SERIA

ALEKSANDRA
MARININA
kolacja
z zabójcą



Aleksandra Marinina (ur. 1957 we Lwowie) mieszkała w Leningradzie, potem przeniosiła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach podjęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się wyłącznie pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas pięć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005) oraz *Złowroga pętla* (2006).

Wydawnictwo
W.A.B.
two

Wydawnictwo
W.A.B.
two

ALEKSANDRA

MARININA

**kolacja
z zabójcą**

w serii ukazały się:

Martha Grimes *Hotel Paradise*

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Jean-Claude Izzo *Szurmo*

Jean-Claude Izzo *Solea*

Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Marek Krajewski *Festung Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Henning Mankell *O krok*

Henning Mankell *Psy z Rygi*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*

Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZNA
SERIA

ALEKSANDRA

MARININA

**kolacja
z zabójcą**

przełożyła MARGARITA BARTOSIK

Patronat medialny



Twój STYL

MIESIĘCZNIK
DETEKTYW



INTERIA.PL



Tytuł oryginału: *Стечение обстоятельств*

Copyright © by A. Marinina, 1993

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I

Warszawa 2007

ROZDZIAŁ 1

Zabójców było trzech – Zleceniodawca, Organizator i Wykonawca.

W najlepszym nastroju był tej nocy Zleceniodawca. Podjął decyzję, wydał stosowne instrukcje i czekał teraz na wyniki. Zdecydował się na to dopiero po długich namysłach i kalkulacjach oraz wielokrotnych próbach rozwiązania problemu za pomocą innych, mniej drastycznych środków – pieniędzy, namów i pogroźek. Tak w ogóle to nie chciał wcale zabijać, ale jeszcze mniej – ryzykować swego statusu społecznego. Dzięki pięknej komsomolsko-partyjnej przeszłości został w wieku czterdziestu dwóch lat zawodowym kierownikiem. Oznaczało to, że do jego podstawowych obowiązków należało wysuwanie pomysłów, które by się spodobały szefostwu, i właściwy dobór potrafiących realizować owe pomysły osób, które można było, w razie czego, obarczyć odpowiedzialnością za niepowodzenie. Zleceniodawca, jak wszyscy kierownicy tego typu, nigdy nie robił niczego sam. Po wydaniu polecenia mógł z ulgą odetchnąć i nie martwić się już tym, że coś pójdzie nie tak, ponieważ był święcie przekonany, że wszystkie jego rozkazy zo-

staną wykonane. Podstawą sumienności podwładnych był strach. A on potrafił ich zastraszyć. Tak więc i tym razem, podjąwszy decyzję, przerzucił całą odpowiedzialność na Organizatora i po raz pierwszy od pół roku mógł spać spokojnie.

Organizator natomiast całkiem stracił spokój. Dokładnie od chwili, kiedy Zleceniodawca skontaktował się z nim niespodziewanie dwa tygodnie temu i zażądał spotkania. Organizator zajmował teraz wyższe stanowisko niż jego dawny znajomy i myślał z niechęcią, że ten chce go pewnie o coś prosić, szantażując dawną zażyłością. Ale sprawa wyglądała gorzej, niż się spodziewał. Mogła wywołać gigantyczny skandal, w który, w razie powstania jakichś komplikacji, zostałby wciągnięty również on. Wszystko zależy od tego, czy zechcą wywlekać ją na światło dzienne. I jeśli wypłynie przy tym jego nazwisko albo choćby najmniejsze podejrzenie o jego udziale, psy z ugrupowania Kowalowa bez zastanowienia rzuca się na niego ku radości własnej i pismaków. A przeszłość miał, trzeba przyznać, nieciekawą. Po prostu nikomu nie przyszło dotychczas do głowy, by w niej grzebać. Ale jak już zaczęła – to koniec z nim.

Po otrzymaniu zlecenia Organizator znalazł Wykonawcę i przekazał mu wszystkie informacje, jakie otrzymał od Zleceniodawcy. Robota miała być wykonana do poniedziałku. Dziś jest piątek, no, już prawie sobota. Ale telefon jak na razie milczy. Organizator nie spał czwartą noc z rzędu, naopowiadał żonie jakichś bajeczek o pilnym sprawozdaniu dla Kancelarii Prezydenta i z przerażeniem czekał teraz w kuchni. Na co? Na wiadomość, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa i sprawa nie wypłynie? Czy na to, że Wykonawcy się nie udało i trzeba szukać innego rozwiązania? Niezależnie jednak od wiadomości, mógł się spodziewać, że albo za jakiś czas zostanie pokonany przez swoich politycznych przeciwni-

ków, albo wsadzą go do więzienia za współudział w zabójstwie. Wszystko zależy od tego, kto okaże się szybszy. Wykonawca był oczywiście człowiekiem, na którym można polegać, i miał dobre referencje. Tylko od niego teraz zależało, czy Zleceniodawca i Organizator stracą swoje eksponowane stanowiska i zostaną potraktowani jak pospolici przestępcy. Wszystko było w jego rękach. Wszystko.

Nie spał też Wykonawca, ale nie dlatego, że się martwił. Był po prostu w pracy. Czekał na swoją ofiarę.

Wiedział, że osoba, którą ma zlikwidować, jest w delegacji i pojawi się w pracy dopiero w poniedziałek. W takich wypadkach, o ile się orientował, ludzie wracali do domu albo w czwartek, robiąc sobie wolny piątek, albo w piątek czy sobotę. Na wszelki wypadek rozlokował się w mieszkaniu ofiary już w czwartek w środku dnia. Był przekonany, że nikt mu nie przeszkodzi. Siedział tu już trzydzieści sześć godzin w chirurgicznych rękawiczkach i foliowych workach na adidasach. Był prawdziwym myśliwym i długie oczekiwanie wcale mu nie przeszkadzało. Potrafił godzinami trwać w tej samej pozycji, jakby pogrążony w letargu, nie wydając przy tym żadnych odgłosów. Podnosił się co jakiś czas z fotela, by rozprostować nogi, pił herbatę, jadł przyniesione ze sobą kanapki i czekoladę, szedł do łazienki, mył twarz i znowu wracał na miejsce. Zdejmował też czasami rękawiczki, by dać skórze pooddychać. Rozbawiło go, że w budynku naprzeciw mieści się szkoła milicyjna. Biorąc to pod uwagę, wprowadził pewne drobne zmiany do starannie przygotowanego wcześniej planu zabójstwa, co trochę poprawiło mu nastrój. Tak w ogóle był człowiekiem poważnym, a nawet surowym, i poczucie humoru miał raczej wisielcze.

Nie zastanawiał się nad tym, że od sukcesu tej operacji może zależeć czyjaś pozycja, a nawet życie.

Miał robotę i martwił się wyłącznie tym, że od jej wykonania zależy jego reputacja, a więc i przyszłe zlecenia i zarobki. Nie należał do żadnej tak zwanej grupy mafijnej, jak określa to prasa, ponieważ nie miał o tych ludziach zbyt wysokiego mniemania. Pracował dla osób wysoko postawionych, które wymagały absolutnej dyskrecji; nikomu nie mogło nawet przyjść do głowy, że chodzi o zabójstwo. Specjalizował się w nieszczęśliwych wypadkach i nagłej śmierci. Nie miał jak na razie żadnych wpadek, chociaż pracowało mu się ostatnio coraz trudniej. Rok temu zmarł człowiek, który był jego ojcem chrzestnym – w tym sensie, że to on nauczył go fachu: wytrwałości, staranności, cierpliwości i przezorności. Był nie tylko nauczycielem, ale i jego pierwszym zleceniodawcą, który sprawdził go w akcji i zapewnił mu start w tej profesji. Był specjalistą najwyższej klasy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i zacieranie śladów. Wykonawca oczywiście się domyślał, że jego „nagła” śmierć była tak naprawdę starannie ukartowanym zabójstwem. Doświadczony fachowiec od razu dostrzeże rękę profesjonalisty. No cóż, wielka polityka nie lubi brudnej roboty. Póki żył chrzestny, Wykonawca miał do czynienia wyłącznie z ludźmi z jego otoczenia, wielokrotnie sprawdzonymi, na których można było całkowicie polegać. A teraz musiał zachowywać wyjątkową ostrożność, bo nikt już nie sprawdzał nowych zleceniodawców. To ostatnie zlecenie też otrzymał nie wiadomo od kogo. Po prostu znalazł w swojej skrzynce pocztowej zaproszenie na jubileusz pięćdziesięciolecia, który miał się odbyć w restauracji moskiewskiego hotelu „Belgrad” 6 czerwca o godzinie 19. Wsiadł więc w pociąg do Moskwy i w wyznaczonym dniu zjawił się pod hotelem o godzinie dwudziestej trzeciej (do pory wskazanej w zaproszeniu trzeba było dodać cztery godziny). Dalej wszystko potoczyło się według wypracowanego przez lata sche-

matu. Już po dziesięciu minutach otrzymał zlecenie, podyktowano mu powoli i wyraźnie potrzebne dane oraz wręczono zaliczkę. I na tym koniec. Żadnego zbędnego gadania. W tym środowisku od zawsze przestrzegano pewnych reguł, nigdy nie rozmawiano o gwarancjach i nie posługiwano się oszustwem. Dobrze funkcjonujący system kontroli wykluczał jakiekolwiek niespodzianki i Wykonawca mógł być absolutnie pewny, że właściwe osoby zatroszczą się o to, by dostał na czas należne mu wynagrodzenie i solidnie wykonał zlecenie.

Nigdy nie miał złych przeczuć. Nie lękał się, że jest wyjątkowy i że nigdy nie powinie mu się noga. Świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że pewnego dnia albo sam popełni błąd, albo przestaną mu sprzyjać okoliczności, i traktował to z filozoficznym spokojem. Nie był sadystą i nie zabijał dla przyjemności. Po prostu dobrze wykonywał swoją pracę i dotarł do środowiska, w którym zawsze będzie zapotrzebowanie na tego typu usługi.

Tłum przy stanowisku odprawy pasażerów przerzedził się i Zacharow trącił w łokieć swego towarzysza.

– Idziemy, Arkadiju Leontjewiczu. Odprawa na pański lot już się kończy.

Niemłody Arkadij Leontjewicz nerwowo poprawił okulary i ruszył w stronę stanowiska.

– Bardzo panu dziękuję, Dima. – Uśmiechnął się sztucznie, odbierając od pracownicy lotniska swój bilet. – Miło mi było pana poznać. Proszę przekazać szefowi moje podziękowania. Rozumiem, że gratyfikacji nie przyjmujecie?

– Jest to absolutnie wykluczone – potwierdził Zacharow. – Wszystkie opłaty dokonywane są na firmę.

– Szkoda – westchnął z żalem Arkadij Leontjewicz.
– Chciałbym podziękować panu osobiście. Jestem bardzo zadowolony z pańskich usług. Ale jak nie wolno...

– Najlepszym podziękowaniem dla nas będzie ponowne skorzystanie z usług naszej firmy w przyszłości.

Mówiąc to, Dima lekko popchnął swego klienta w stronę wyjścia. „Idź już w końcu – pomyślał ze znużeniem.

– Druga w nocy, chce mi się spać, a ty mi zawracasz głowę swoją wdzięcznością”.

– Udanego lotu, Arkadiju Leontjewiczu! Proszę zgłosić się do nas, kiedy będzie pan ponownie w Moskwie.

– Ależ oczywiście, Dima, oczywiście. Będę odtąd korzystał wyłącznie z usług pańskiej firmy. Jeszcze raz dziękuję!

Pożegnawszy Arkadija Leontjewicza, Dima odetchnął z ulgą. Nielatwa to praca – zapewniać ochronę osobistą tchórzliwym milionerom.

Wyszedł z terminalu lotniczego i pobiegł do samochodu. W ciągu tych prawie dwóch godzin, które spędził z klientem na lotnisku, deszcz nie tylko nie ustał, ale rozpadał się na dobre. Dima uruchomił silnik i już chciał ruszać, kiedy zauważył kobietę, powoli idącą od strony przylotów. Nie miała parasolki, niosła wielką sportową torbę i wyglądała na trochę zagubioną. Autobusy do miasta już nie kursowały i Dima pomyślał ze współczuciem, że będzie musiała czekać na lotnisku do rana, siedząc na torbie w przemoczonym ubraniu, i pewnie się przeziębi. Albo weźmie taksówkę, za którą zapłaci dwa razy więcej, niż zarabia miesięcznie.

Zacharow mignął światłami i powoli podjechał do kobiety.

– Pani do miasta? – zapytał przez opuszczoną szybę w tylnych drzwiach.

– Południowo-Zachodnia*, ulica Wołgina. Podwiezie mnie pan? – Nie usłyszał w jej głosie ani radości, ani ulgi. Wyglądała na całkowicie zrezygnowaną.

– Proszę wsiadać. – Dima szybko zamknął szybę i otworzył drzwi.

– Wie pani, ile to będzie kosztowało? – zapytał jeszcze, zanim ruszył.

– Domyślam się – uśmiechnęła się pasażerka, ustawiając torbę na kolanach.

– Patola – sprecyzował Zacharow, patrząc na nią wyczekująco. Był zdecydowany podrzucić ją do miasta, nawet jeśli nie będzie miała pieniędzy; i tak musiał jechać z Wnukowa przez Południowo-Zachodnią. Nie spodobała mu się jednak obojętność kobiety, której przecież trafił się spory fart – może dojechać z lotniska do miasta w środku nocy za jedną trzecią ceny.

A ona tymczasem rzuciła tylko z roztargnieniem:

– Tak – tak, oczywiście. Zwykle biorą więcej. A może się myłę?

– Nie myli się pani – rzekł z uśmiechem Dima.

– Taksówkarze i łebkarze biorą za takie podwiezienie w nocy minimum trzy tysiące.

– A pan?

– Nie jestem łebkarzem. Odprowadzałem kolegę i miałem już wracać do domu, ale zobaczyłem panią, taką przemokniętą, samotną, z ciężką torbą i zrobiło mi się pani żal prawie do łez. Nie pojechałaby pani za trzy tysiące, prawda?

– Tak – sucho odparła pasażerka. Był przekonany, że nie ma żadnych pieniędzy, nawet tego tysiąca.

Próbował przyjrzeć się jej dyskretnie w świetle latarni. Około trzydziestki, może ciut więcej, zmęczona,

* Południowo-Zachodnia – rejon Moskwy, od nazwy stacji metra (wszystkie przypisy tłumaczkii).

mocno umalowana twarz, krótkie czarne włosy, ciuchy niedrogie, sztuczna biżuteria. Na zakręcie lekko przechyliła się w jego stronę i Dima poczuł zapach drogich perfum Cinnabar – akurat znał się na perfumach. Coś takiego – zdziwił się – perfumy kosztują tyle samo, co całe jej ubranie.

Kobieta rozpięła zamek błyskawiczny torby i wyjęła z niej mały ręczniczek, którym zaczęła wycierać włosy.

– Jak to się stało, że nie ma pani parasolki w taką pogodę? – zapytał ze współczuciem Dima.

– Nie lubię targać w delegację za dużo rzeczy – ucięła pasażerka. Ale szybko się zreflektowała i dodała, nie chcąc być niegrzeczną: – Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek trafi, lepiej więc mieć przy sobie tylko lekką torbę. Prawda?

– Często pani jeździ? – zapytał Zacharow.

– Różnie. – Wzruszyła ramionami. – Zdarza się, że przez cały rok nie ruszam się z Moskwy, a potem delegacje sypią się jedna za drugą, nie zdążę się rozpakować, a tu znów muszę się zbierać.

– A co to za praca? – Dima był gotów rozmawiać „o niczym”, byle tylko nie nudzić się w czasie jazdy.

– Zwykła praca. Niby naukowa.

– Czemu niby? – zdziwił się Dima.

– Bo ci, co się nią zajmują, uważają ją za naukową. Cała reszta jest przekonana, że przejadamy niepotrzebnie państwowe pieniądze, zajmując się pustym gadaniem a nie pracą naukową.

– Ale jeśli wysyłają panią w delegację, to znaczy, że pani praca jest jednak potrzebna. Prawda?

– Nie. Wykorzystują nas nie jako pracowników naukowych, ale jako tanią siłę roboczą. Na przykład w czasie kontroli, kiedy brakuje pracowników. A nasza wiedza nie jest, niestety, nikomu potrzebna.

– Dlaczego?

– Ponieważ są trzy sfery, w których każdy uważa się za znawcę: polityka, wychowanie dzieci i walka z przestępczością. Wszyscy nie wiadomo czemu uważają, że w tych sprawach wystarczy zdrowy rozsądek, a nie badania naukowe. Widział pan kiedyś, jak ludzie krzywo się uśmiechają, słysząc o „doktorze nauk pedagogicznych”?

– A pani jest właśnie takim doktorem? – Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Nie, jestem prawnikiem. Ale moja sytuacja nie jest lepsza. Wie pan, jak patrzą na nas urzędnicy w ministerstwach, kiedy przynosimy im wyniki badań? Jak na błagających o jałmużnę grafomanów. Znow ci natrętni naukowcy nabazgrali jakieś bzdury, nic, tylko piszą i piszą. My tu próbujemy zahamować gwałtowny wzrost przestępczości, a oni nam przeszkadzają, zmuszają do czytania jakichś głupot. A po paru tygodniach otwiera człowiek gazetę, a tam wywiad z jakimś ministerialnym urzędnikiem, gdzie widzi czarno na białym własne wypowiedzi, podpisane cudzym nazwiskiem. I honorarium za to też otrzymuje kto inny.

– Duże są te honoraria?

– Groszowe. Ale nie o to chodzi! Człowiek po prostu podle się czuje, kiedy traktują go jak kompletne zero, mięczaka, któremu można ukraść każdą myśl, nawet mu za to nie dziękując, o przeprosinach już nie wspomnę. A wie pan, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Większość z owych kacyków wręcz marzy o stopniu naukowym. Sami oczywiście nie są w stanie napisać żadnej pracy. Znajdują więc jakiegoś profesora z dorobkiem, który pisze ją dla nich w zamian za skrzynki koniaku i wczasy nad ciepłym morzem. A po obronie ci świeżo upieczeni doktorzy gnębią naukowców jeszcze bardziej, powtarzając: „Sam mam stopień naukowy, więc znam się na tym nie gorzej od was!”. Śmieszne, prawda?

Dima nic nie powiedział. Też by mógł wyznać w porywie szczerości swojej przypadkowej pasażerke, że przepracował w milicji ponad dziesięć lat i zetknął się tam właśnie z takim stosunkiem do wiedzy teoretycznej, o jakim przed chwilą mówiła. Mógłby ponarżać na krótkowzroczność szefów i niesprawiedliwy los. Opowiedzieć, jak po odejściu z milicji zaczął pracować w prywatnej firmie, zajmującej się, nazwijmy to, zapewnieniem „bezpieczeństwa w biznesie”. I rozmowa mogłaby się stać bardziej rzeczowa, bardziej szczerza i pewnie znaleźliby kilku wspólnych znajomych, może nawet by się polubili, a ich spotkanie nie skończyłoby się tak, jak się skończyło. Mogłoby się tak stać. Ale się nie stało, bo Dima Zacharow nic nie powiedział.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle na dobrze oświetlonym skrzyżowaniu.

– Wiem, o czym pan teraz myśli – powiedziała nagle pasażerka. – Próbuje pan zgadnąć, czy mam pieniądze.

– Doszedłem do wniosku, że nie – wyznał szczerze zaskoczony Zacharow.

– Prawie pan zgadł. Przy sobie rzeczywiście nie mam, ale proszę się nie denerwować – mam w domu. – Uśmiechnęła się. – Wiem, że nie wyglądam na taką, co szasta pieniędzmi.

Parę minut później byli już pod budynkiem szkoły milicyjnej na ulicy Wołgina.

– Teraz w lewo – powiedziała kobieta – i znów w lewo wzdłuż domu. Proszę zatrzymać się tu, obok bramy.

Budynek był otoczony szerokim pasem zieleni i Dima pomyślał, że cała zmoknie, zanim wejdzie do środka. Zrobiło mu się żal tej kobiety, zmęczonej ciągłymi delegacjami, na którą nikt nie czeka i która przyzwyczała się liczyć tylko na siebie.

– Może wjadę do bramy, będzie pani bliżej do wejścia – zaproponował.

– Dziękuję panu – powiedziała z wdzięcznością, otwierając torebkę. – Zostawię w zastaw dowód, dobrze? A może wejdzie pan ze mną na górę?

– Raczej nie – mruknął Dima. – W naszych czasach nie można samochodu spuścić z oka – od razu rozbiorą na części. Musiałbym go zamykać, zdejmować lusterka i wycieraczki – za długo to potrwa. Niech pani lepiej zostawi dowód.

– Zaraz wracam – rzuciła, wysiadając z wozu.

Dima zawrócił i postawił samochód tak, żeby łatwo móc później wyjechać, zgasił silnik i światła. Siedział w nagrzanym wozie, palił i leniwie rozmyślał o jutrzejszym dniu. O dziesiątej ma być w pracy, o dwunastej trzydzieści musi odebrać Wierę ze szkoły, zawieźć ją do babci na daczę i wrócić na piątą do miasta, bo o piątej siedemnaście przyjeżdża pociągiem Berlin–Moskwa kolejny stuknięty klient, wystraszony pogłoskami o przestępczości szalejącej w rosyjskiej stolicy. Trzeba go zawieźć z Dworca Białoruskiego do hotelu. Na wieczór Dima na razie nic nie planował, bo szef uprzedził go, że to nie jest zwykły klient i, prócz ochrony osobistej, może potrzebować pomocy w uzyskaniu pewnych informacji...

Dima zerknął na zegarek. Za dwadzieścia trzecia. Czekał już piętnaście minut. Dziwne. Nie wyglądała na naciągaczkę, a poza tym zostawiła dowód. Pieniądzy nie może znaleźć czy co? Wyjechała w delegację, a mąż wszystko przepił. Albo synalek wydał forszę na jakieś głupoty. Przekartkował dowód. Irina Siergiejewna Fiłatowa, moskwianka, zdjęcie na pewno jej, wpisy o zawarciu związku małżeńskiego i jego unieważnieniu, meldunek. Dzieci nie są wpisane, więc jest bezdzietna.

Otworzyły się drzwi na klatkę schodową, rzucając kwadrat światła na asfalt. Dima chciał już opuścić szybę, ale z budynku wyszedł jakiś mężczyzna. Ile można cze-

kać? Otworzył ponownie dowód na stronie z zameldowaniem, zerknął na numer mieszkania i zdecydowanie wysiadł z wozu.

ROZDZIAŁ 2

Nastia Kamińska obudziła się w poniedziałek jak zwykle połamana. Była typową „sową” – chodziła spać późno i wstawanie o siódmej rano było dla niej męką. Ale doszła jakoś do siebie i z trudem dowlokła się do łazienki.

Jezu, jak ona wygląda! Twarz opuchnięta, pod oczami worki – po co piła na noc dwie filiżanki herbaty, przecież wie, że dwie godziny przed snem nie powinna pić żadnych płynów, bo będzie miała rano obrzmiałą twarz. Ależ jest śpiąca...

Stała pod prysznicem, odkręciła wodę, najpierw gorącą, potem letnią, i cierpliwie czekała, aż całkiem się obudzi. Potrzebowała na to zwykle z dziesięć minut. Myjąc apatycznie zęby, spróbowała pomnożyć 37 przez 84. Pomyliła się. Śpiący jeszcze mózg odmawiał wykonania najprostszycz działań. Zmieniła liczby i spróbowała ponownie. Udało się. Zaczęła przemnażać liczby trzycyfrowe. Jak widać, dochodziła powoli do siebie, bo uzyskała prawidłowy iloczyn już po pierwszej próbie. I ostatni sprawdzian – przypomnieć sobie dziesięć szwedzkich słówek. Tym razem dotyczyły one sprzętu kuchennego. Tak naprawdę nie uczyła się wcale szwedzkiego ani żadnego innego języka, lubiła po prostu zapamiętywać nowe słówka, ćwiczyć pamięć. Znała po jakieś pięćset słów z każdego języka europejskiego, ponieważ jej matka, profesor Kamińska, była wybitną specjalistką od programów komputerowych do nauki języków ob-

cych i wszystkie swoje pomysły i odkrycia nieustannie wypróbowywała i ulepszała na własnej córce.

Przy dziesiątym słowie Nastia poczuła, że zaczyna marznąć – woda okazała się zbyt zimna. Wytężyła pamięć, by przypomnieć sobie szwedzki odpowiednik słowa „sito” i szybko chwyciła ręcznik.

Zmusiła mózg do pracy – to już połowa sukcesu. Teraz pora zająć się ciałem. Poszła do kuchni i zmełła kawę. Nastawiła wodę, otworzyła lodówkę i wyciągnęła karton soku pomarańczowego i lód, uświadamiając sobie po raz kolejny, jak droga to jest przyjemność. Jedno opakowanie soku starczało jej na cztery dni, pod warunkiem, że piła sok tylko na śniadanie, co dawało wydatek prawie dwa tysiące rubli miesięcznie. Miała w maju urlop, ale nigdzie się nie wybrała, postanowiła zamiast tego dorobić – przełożyła z francuskiego kryminał Charles’a Exbrayata i wydała całe honorarium na tego typu przyjemności: kupiła sobie trzydzieści kartonów soku, kilka puszek kawy, trzy kartony dobrych papierosów. No i martini – jedyny alkohol, który lubiła.

Organizm powoli, jakby od niechcienia, reagował na każdy łyk lodowatego kwaśnosłodkiego soku. Po gorącej kawie Nastia poczuła się już znacznie lepiej, a po pierwszym papierosie – całkiem dobrze.

Po śniadaniu zrzuciła szlafrok i znów podeszła do lustra. Opuchlizna z twarzy już zeszła i Nastia mogła patrzeć na siebie bez obrzydzenia. Nadal jednak przyglądała się swemu odbiciu w lustrze dość krytycznie. Co robić, Bóg poskąpił jej urody. Mimo że nie była wcale brzydka. Miała regularne rysy, zgrabną figurę, długie nogi i cienką talię. Z osobna wszystko wyglądało dobrze, ale całość była mało efektowna, zwyczajna, przeciętna i nie przyciągała niczyjej uwagi. Wyraźną skazą były tylko jasne brwi i rzęsy, ale nawet kiedy je

pomalowała, i tak pozostawała szarą myszką. Mężczyźni za takimi się nie oglądają.

Włożyła dzinsy i podkoszulek, zrobiła lekki makijaż i wyruszyła do pracy.

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, kierownik wydziału MUR-u* – niewysoki, z okrągłą twarzą, prawie całkiem łysy, z dość wydatnym brzuchem, nazywany przez podwładnych Pączkiem – też wybierał się do pracy.

Wiktor Aleksiejewicz był świetnym przykładem, a nawet prawdziwym ucieleśnieniem twierdzenia, że powierzchowność może być złudna. Trzydzieści dwa ze swych pięćdziesięciu trzech lat przepracował w milicji, w tym dwadzieścia sześć w wydziale kryminalnym. W ciągu owych dwudziestu sześciu lat nauczył się wykrywać przestępstwa, więc kiedy stanął na czele wydziału MUR-u, wyniki pod jego kierownictwem wyraźnie się poprawiły. Delikatny i zawsze życzliwy, był jednocześnie nieufny i pamiętliwy. A poza tym nikogo i niczego się nie bał, bo był bardzo szczęśliwie żonaty.

Historia jego ożenku potwierdza starą prawdę, że małżeństwo z rozsądku może być udane. Chodzi o to, że Gordiejew Pączkiem nie został, tylko się urodził. Przez całą szkołę podstawową i średnią Witusza był stałym obiektem szyderstw i kpin kolegów. Pełen kompleksów i pretensji do całego świata, tęgi, ale silny i zwinny, wybrał po odbyciu służby wojskowej pracę w milicji wyłącznie dlatego, że była wówczas powszechnie szanowana i uważana za prestiżową, co podnosiło nieco poczucie jego własnej wartości.

* MUR (Moskowskoje Uprawlenije Rozyska) – Moskiewski Urząd Śledczy.

Nikt z Witi już nie kpił, kiedy zaczął pracować w milicji, studiując wieczorowo prawo, ale on i tak cierpiał. Będąc niskiego wzrostu grubasem, kochał się w wysokich szczupłych brunetkach. Najbardziej dręczyła go nieodwzajemniona miłość do koleżanki z roku Lusi Chizniak, która wszystkiego miała w nadmiarze: wzrostu, wysokich obcasów, zgrabnej sylwetki, czaru i elegancji. Miała metr osiemdziesiąt i wydawała się Gordiejewowi nieosiągalnym ideałem.

Przemęczony w ten sposób do czwartego roku studiów, Witiusza doszedł do mało pocieszającego wniosku, że miłość i małżeństwo nie mają ze sobą wiele wspólnego, toteż żonę trzeba wybierać nie spośród dziewcząt, w których się człowiek zakochuje, ale spośród takich, z którymi da się wytrzymać. Na jednej ze studenckich imprez poznał Nadięnkę Woroncowa, która nie ustępowała mu ani tuszą, ani zakompleksieniem. Od dzieciństwa cierpiała na zaburzenia przemiany materii i w wieku dwudziestu lat była gruba i niezgrabna. Różnica między nimi polegała jednak na tym, że Gordiejew ze swym kompleksem niższości miał pretensje do całego świata, a Nadienka rekompensowała to sobie tym, że była duszą towarzystwa. Studiowała pedagogikę, uwielbiała dzieci i marzyła, by zostać nauczycielką w szkole podstawowej, obawiając się jednocześnie, że uczniowie będą się z niej śmiali.

Witia energicznie ruszył w zaloty i po dwóch miesiącach miał już żonę, z którą potrafił się dogadać, oraz teściową inżyniera i teścia lekarza. Z reszty jego planów jednak nic nie wyszło.

Pewnego pięknego poranka, jakieś pół roku po ślubie, Nadienka odkryła nagle przy wkładaniu spódnicy, że jej pulchna dłoń swobodnie mieści się między paskiem a miejscem, gdzie teoretycznie powinna znajdować się talia. Nie zwróciła zbytniej uwagi na ten dziwny

stan rzeczy, bo głowę miała zaprzątniętą akurat myślą o tym, że chyba jest w ciąży. Dwa tygodnie później powiedziała o tym mężowi i wprawila go w osłupienie: jego żona jest w ciąży i... dlatego chudnie. Teść długo się śmiał i powiedział, że jest to możliwe, aczkolwiek zdarza się bardzo rzadko. Widocznie, wyjaśnił, zmiany wywołane ciążą unormowały przemianę materii.

Po urodzeniu syna i zrzuceniu dziesięciu kilogramów Nadieńka kategorycznie oznajmiła, że będzie rodziła, dopóki nie uzyska sylwetki gwiazdy filmowej. Gordiejew ironicznie jej przytakiwał, ale był mocno zdziwiony, kiedy również druga ciąża wyszła jego małżonce na dobre. Pucłowatość znikła i nagle się okazało, że Nadieńka ma cudny nosek i piękne oczy. Krótko mówiąc, ożeniwszy się z grubą brzydulą w przekonaniu, że i ona, i jej rodzice pozostaną mu za to wdzięczni do końca życia, Gordiejew stał się niespodziewanie mężem prawdziwej piękności. Ale to nie był jeszcze koniec wszystkich nieszczeń!

Po jakimś czasie jego niczym niewyróżniający się teść zadał mu potężny cios, wynajdując nową, niezwykle efektywną metodę operacji serca, po czym zaczął szybko awansować, i Gordiejew nie zdążył się obejrzeć, jak został zięciem profesora, a wkrótce dyrektora Instytutu Kardiologii. Tego już dla ambitnego Witi było za wiele. Żeniąc się, miał nadzieję, iż będzie noszony na rękach za to, że pracuje w wydziale kryminalnym. Ten numer jednak nie wypalił, musiał więc szukać sposobu, by dorównać rodzinie. Znalazł go, będąc już wówczas majorem milicji, w książkach amerykańskich autorów, poświęconych teorii i psychologii zarządzania.

W ostatecznym rozrachunku zyskał jednak na tym małżeństwie. Nadieńka była teraz szanowaną Nadieżdą Andriejewną, dyrektorką jednego z najbardziej prestiżowych liceów z Moskwy. Teść, znany na całym świecie

kardiolog, profesor, został posłem do Dumy. A Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew przeszedł uczciwie przez wszystkie szczeble awansu i zatrzymał się na stanowisku kierownika wydziału MUR-u, realizując najbardziej interesujące pomysły, jakie udało mu się znaleźć w różnych mądrych książkach. Nikogo się nie bał, bo nikt nie śmiałyby z nim zadzierać. Koniec końców wszyscy mieli dzieci, którym dobrze by było załatwić miejsce w prestiżowym liceum, a na choroby związane z układem krążenia cierpiał co trzeci.

– Mamy bilety na premierę do „Sowriemiennika”. Idziemy czy oddajemy je dzieciom? – zapytała Nadieżda Andriejewna, podając mężowi śniadanie.

– Od kogo? – rzucił Gordiejew.

– Od Grażewicza. Gra główną rolę.

– Znów Grażewicz – powiedział niezadowolonym tonem Wiktor Aleksiejewicz. – Już po raz czwarty, jeśli się nie mylę. Jego syn źle się uczy czy jak?

– A skąd. – Żona wzruszyła ramionami. – Chłopiec ma same dobre oceny. Czemu od razu źle?

– Ponieważ tylko wtedy jest sens dogadzać dyrektorce. A jeśli chłopak uczy się dobrze, to po co się starać? – wyjaśnił Gordiejew, starannie przeżuując grzanekę z serem.

– Witiuniu, setki razy już ci powtarzałam, mówię więc po raz sto pierwszy – czule odezwała się Nadieżda Aleksiejewna, obejmując męża i całując go w czubek głowy. – Gdybyś się ze mną nie ożenił, nigdy bym nie rodziła, więc i nigdy bym nie schudła. Jeśli podobam się teraz mężczyznom, to wyłącznie dzięki tobie. Pamiętam o tym, doceniam i nigdy tego nie zapomnę. Dlatego skończ już z tymi swoimi paskudnymi aluzjami zazdrośnika. Nawiasem mówiąc, Grażewicz prawdopodobnie szuka dojścia nie do mnie, tylko do ciebie. Myśli o przyszłości swego syna.

– Jasne. – Gordiejew skinął głową, dopijając herbatę. – Postaram się dziś dowiedzieć, o co chodzi. Jeśli synalek miał czy ma jakieś problemy z prawem, przeprosisz i zwrócisz bilety. Jeśli wszystko w porządku, idziemy na premierę. Zgoda?

I pocałował żonę na pożegnanie, pułkownik milicji Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, zwany Pączkiem, wyszedł z mieszkania i wyruszył do pracy.

Poniedziałek na Pietrowce 38 zaczął się od tego samego, na czym skończył się ostatni piątek: od dyskusji na temat, czy podniosą im pensje od lipca, jak obiecali, czy znów oszukają. Oszustwo polegało na tym, że pensje podnoszono zwykle nie w tym miesiącu, od którego oficjalnie obowiązywała podwyżka, tylko w następnym. To znaczy, jeśli podwyżka obowiązywała od pierwszego lipca, dostawali w lipcu starą pensję, a w sierpniu – podwyższoną plus to, czego nie dopłacono im w poprzednim miesiącu. Przy stabilnych cenach nie byłoby w tym nic strasznego, ale w obecnej sytuacji, kiedy inflacja rosła w zawrotnym tempie, za wypłacone z opóźnieniem pieniądze niewiele można już kupić.

W wydziale kierowanym przez Gordiejewa dyskusja trwała na całego, kiedy po korytarzu przemknął jak błyskawica Jura Korotkow, zaglądając we wszystkie drzwi.

– Chłopaki, Pączek wzywa!

Wiktor Aleksiejewicz rozpoczął naradę jak zawsze od długiego powitania, mówiąc, że cieszy się, iż wszyscy są zdrowi, a Kola Sielujanow, który wrócił właśnie z urlopu, wygląda kwitnąco. Gordiejew nie lubił dużo gadać, ale dobrze wiedział, że jeszcze przed chwilą, spotkawszy się po weekendzie, wszyscy rozmawiali o sprawach prywatnych i dyskutowali na tematy zupełnie niezwiąza-

ne z firmą. Chciał więc dać swoim ludziom trochę oddechu przed pracą.

– Zaczniemy od starych „ogonów” – zaczął. – Zabójstwo Pleszkowa, dyrektora generalnego firmy „Parnas”. Słucham, Korotkow.

Mówiąc to, Pączek zdjął okulary i przygryzł zausznik, co oznaczało u niego największą uwagę i skupienie.

– Sprawdzanie hipotez zabójstwa Pleszkowa z powodu zemsty, zazdrości czy żądzy zysku, nie dało jak dotąd żadnych rezultatów. Żadna z osób, mających dostęp do mieszkania Pleszkowa, nie miała powodów do zabójstwa. Wysunęliśmy więc przypuszczenie, że morderstwa dokonano pod wpływem tak zwanego syndromu Raskolnikowa: zabójca chciał się przekonać, jak daleko może się posunąć. Przy czym przestępcy i ofiary nie musi łączyć jakaś szczególna niechęć. Na podstawie tej hipotezy został sporządzony portret psychologiczny zabójcy. Wszystkie osoby, które miały dostęp do mieszkania, są ponownie sprawdzane. Wytypowano dwóch podejrzanych i zastosowano prowokację, mającą skłonić zabójcę, aby się ujawnił.

– Syndrom Raskolnikowa? – mruknął Gordiejew. – Ciekawe. Kiedy to wymyśliliście?

– W sobotę, panie pułkowniku – szybko odpowiedział Jura Korotkow, rzucając przelotnie spojrzenie w kąt gabinetu, na nisko pochyloną jasnowłosą głowę.

– Kiedy oczekujecie wyników?

– Mamy nadzieję, że dziś albo jutro.

– Dobrze – skinął głową Wiktor Aleksiejewicz. – A jak przyjął tę wersję śledczy? A może nie podzielił się pan z nim swoją literacką wiedzą?

Korotkow milczał. Jasnowłosa głowa w kącie gabinetu pochyliła się jeszcze niżej.

– Rozumiem – podsumował pułkownik. – Więc tak. Ze śledczym się nie kłócić. Rozpracowywać dalej tę

hipotezę. Wydaje mi się, że coś w tym jest. Motyw jest trudny do udowodnienia, dlatego trzeba działać bardzo ostrożnie, to jest koronkowa robota. I bez pośpiechu. Mamy jeszcze czas. No dobra. Zabójstwo dziewczyny z agencji modelek. Słucham.

Sprawę przedstawił najmłodszy pracownik wydziału kryminalnego, czarnooki Misza Docenko.

– Przekazaliśmy śledczemu poważne poszlaki, wskazujące na jednego z podejrzanych. Postanowiliśmy na razie go nie zatrzymywać, czuje się pewny siebie i wygłada na to, że nie ma zamiaru uciekać. Ale obserwujemy go, oczywiście.

– Nic dziwnego, że ma dobre samopoczucie – burknął Gordiejew. – Za trzy dni mijają dwa miesiące od dokonania zabójstwa, a on ani razu jeszcze nie był przesłuchiwany. Jesteście pewni, że nie popełniliście żadnego błędu?

Wydawało się, że sylwetka w kącie gabinetu próbuje wtopić się w ścianę. Misza powstrzymał się od patrzenia w tamtą stronę i odważnie odparł:

– Mamy nadzieję, że nie popełniliśmy.

– Dobrze, zobaczymy, jak śledczy oceni te wasze poważne poszlaki. Kolejna sprawa. Zgwałcenie Nataszy Kowalowej, lat dwanaście. Słucham.

– Nic na razie nie mamy, panie pułkowniku – zameldował zmartwionym głosem Igor Lesnikow, doświadczony i zgodnie z ogólną opinią, najprzystojniejszy śledczy w wydziale Pączka.

– Co to znaczy „nic na razie nie mamy”? – zapytał cichym głosem Gordiejew, odkładając okulary na stół, co znaczyło, że zaraz wybuchnie. – „Nic na razie nie mamy” trwa już od trzech tygodni, ostatni raz słyszałem to w piątek rano. Minęły trzy doby. Co zostało zrobione w tym czasie?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, dziewczynka jest w szoku, przeżywa silny wstrząs nerwowy. Nie może zeznawać. Nie mamy nawet ogólnego opisu sprawcy. Sprawdziliśmy wszystkich zarejestrowanych, również w poradni psychiatrycznej, wszystkich uczniów z okolicznych domów. Mamy listę około czterdziestu osób, które mogły znajdować się między osiemnastą a dziewiętnastą w miejscu popełnienia przestępstwa. Wszyscy zostali sfotografowani z ukrycia, żeby przy pierwszej sposobności pokazać ich zdjęcia ofierze. Ale Natasza nie chce odpowiadać na żadne pytania. Albo milczy, albo wpada w histerię. I lekarze nie potrafią powiedzieć nic konkretnego.

Gordiejew nie odpowiedział. Wziął długopis i narysował na czystej kartce kwadrat, w kwadracie romb i zaczął zamalowywać kąty. Ciężkie milczenie trwało parę minut. Pączek podniósł nagle głowę i wlepił wzrok w Lesnikowa.

– Chyba nie powiedziałaś jeszcze wszystkiego. Mów.

– Mamy hipotezę roboczą, że przestępstwo popełniono nie tyle na tle seksualnym, co z zemsty. Tragedia wydarzyła się dwudziestego czwartego maja. Cztery lata temu, dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w tuszyńskim sądzie rejonowym został skazany niejaki Szumilin Siergiej Wiktorowicz. Zarzucano mu, że kierując w stanie nietrzeźwym samochodem, spowodował wypadek, w którego wyniku dwie osoby poniosły ciężkie obrażenia. Ojciec zgwałconej dziewczynki, Witalij Jewgienjewicz Kowalow, był w tym procesie ławnikiem.

– Rozumiem – skinął głową Gordiejew, znów przygryzając zausznik okularów. – W czym problem?

– Chodzi o to, panie pułkowniku, że Kowalow jest osobą z bliskiego otoczenia wicepremiera, a Szumilin – to krewny Winogradowa, prezesa Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości. Ich konfrontacja...

Igor urwał. Gordiejew znów zapadł w milczenie, gryząc zausznik.

– Zajęliście się Szumilinem? – Teraz to już Wiktor Aleksiejewicz rzucił spojrzenie w kąt gabinetu.

– Na razie nie.

– Więc zróbcie to, tylko bardzo ostrożnie. Bez żadnego rozgłosu. Sprawdźcie tę hipotezę szczegółowo, mam na myśli drugiego ławnika i sędziego. Jeśli to rzeczywiście Szumilin, ich też nie zostawi w spokoju. Proszę mnie informować o wszystkim. Będę was asekurować. Jeśli popełnicie jakiś błąd, oberwiecie ode mnie wszyscy. W tej sprawie to na razie tyle. Siadaj, Igorze. Docenko, opowiedz nam o Filatowej. Nie wszyscy jeszcze wiedzą, że w nocy z piątku na sobotę znaleziono jej zwłoki.

– Trzynastego czerwca o trzeciej zero pięć dyżurny z GUWD* otrzymał informację o znalezieniu zwłok Filatowej Iriny Siergiejewny, urodzonej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, majora milicji, wybitnego naukowca Instytutu Naukowo-Badawczego MSW Rosji. Zwłoki zostały znalezione w mieszkaniu Filatowej przez człowieka, który podwoził ją samochodem z lotniska. Filatowa leżała w kuchni obok włączonej kuchenki elektrycznej, która była wyraźnie uszkodzona. W czasie oględzin nie znaleziono jednak na ciele ofiary śladów porażenia prądem. Dało to podstawę do podejrzeń, że nieszczęśliwy wypadek – porażenie prądem – był zaaranżowany. Podejrzany został zatrzymany na podstawie artykułu sto dwadzieścia dwa.

I tu Pączek wszystkich zaskoczył. Nie zadał żadnego pytania, nie wydał poleceń. Po prostu zamknął naradę.

* GUWD (Głównoje Uprawlenije Wnutriennich Dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych.

– Rozumiem, dziękuję. Wszyscy, oprócz Kamieńskiej, są wolni. Anastazjo, wyjdź ze swego kąta.

Mówiąc to, Wiktor Aleksiejewicz podniósł się z swego masywnego biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie. Nie potrafił pozostawać długo bez ruchu. Nastia wyszła z kąta, w którym tkwiła, nie odzywając się, przez całą naradę, i przesiadła się na fotel przy oknie.

– Syndrom Raskolnikowa – to twoja robota? – Pączek nagle się zatrzymał, spoglądając spode łba na Kamieńską.

– Moja – cicho potwierdziła Nastia. – Nie podoba się panu?

– A Szumilin – to też twoja robota? – szef zignorował jej pytanie, chociaż dobrze wiedział, że chciałaby usłyszeć od niego słowo pochwały.

– Też moja – głos Kamieńskiej zadrżał.

– A podejrzanego w sprawie modelki czemu pozostawiono w spokoju? Ty poradziłaś?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, myślałam, że...

– Wiem – przerwał jej Gordiejew. – Mówiłaś mi. Nie mam na razie sklerozy.

Nastia była bliska płaczu. Widocznie szef nie jest z niej zadowolony, zawiódł się na niej. Każda narada była dla niej torturą, męczarnią, czuła się, jakby siedziała na beczce z prochem, która może wybuchnąć przy najmniejszym błędzie z jej strony, i wtedy wszyscy będą z niej się śmiali i wytykali palcem: „Patrzcie no na tę Kamieńską, królowa się znalazła, w zasadzkach nie przesiaduje, w zatrzymaniu grup przestępczych nie bierze udziału. Siedzi w ciepłym gabinecie, popija sobie kawusię i udaje genialnego Nero Wolfe'a!”. Nastia wiedziała, że tak nie tylko myśli, ale i, niestety, mówi za jej plecami wiele osób. Z drugiej jednak strony pracowała u Gordiejewa szósty rok i miała na swoim koncie spo-

ro udanych pomysłów i inteligentnych rozwiązań, z których mogła być dumna. Zdarzały się oczywiście i pomyłki, ale świat od tego się nie zawalił i beczka prochu nie wybuchła.

Na pozór praca Nasti rzeczywiście wyglądała na próżnowanie w gabinecie. Gordiejew ściągnął ją do siebie na Pietrowkę z komendy rejonowej wkrótce po tym, jak po dwóch dniach ślęczenia nad danymi o przestępczości w mieście, oznajmiła nagle, że na północy Moskwy pojawił się homoseksualista, mający nieograniczony dostęp do środków odurzających. Wynioskowała to z faktu, że w tej właśnie części Moskwy wzrost kradzieży, popełnianych przez nastoletnie dziewczyny, był większy od popełnianych przez chłopców; uznała więc, iż istnieje coś bardzo pociągającego właśnie dla nastolatków, ale opłata za to „coś” jest różna dla dziewczynek i chłopców. Rozwijając ten wątek, Nastia intuicyjnie, jak jej się zdawało, wytypowała źródło zła. Śmiechu wtedy było co niemiara, żartowano i opowiadano o tej historii kawały, które dotarły aż na Pietrowkę. Nie śmiał się z nich tylko Pączek. Wpadł po jakimś czasie do wydziału walki z narkotykami, skąd od razu udał się do działu kadr. Okazało się, że wymyślony przez Nastię człowiek rzeczywiście istnieje.

Gordiejew ściągnął do siebie Nastię, bo chciał mieć w wydziale własnego analityka. Kamieńska rzeczywiście wielu rzeczy nie umiała, nigdy nie uprawiała sportu, nie biegała, nie strzelała, nie trenowała sambo. Ale za to potrafiła myśleć i analizować. I głupcem jest ten, kto sądzi, że to każdy potrafi, że do tego nie są potrzebne żadne umiejętności. Trafic dziewięćdziesiąt osiem razy na sto – to dopiero coś! Gordiejew, człowiek niegłupi i, co najważniejsze, niebojący się nikogo, wziął do siebie Nastię na stanowisko starszego inspektora. Pracowała nad wszystkimi przestępstwami, którymi zaj-

mowali się detektywi w jego wydziale. Wysuwała hipotezy i obmyślała sposoby ich sprawdzania, wertowała masę informacji i myślała, myślała, myślała. Miała fenomenalną pamięć oraz zdolność błyskawicznego wydobywania z niej potrzebnych wiadomości.

Detektywi z wydziału Gordiejewa nie od razu do niej się przekonali. Najbardziej drażniło ich to, że szef uparł się, by miała własny gabinet, co na Pietrowce było nie do pomyślenia. Na początku zrobili z niej nawet coś na kształt „panienki od telefonów”, skoro i tak siedziała przez cały dzień w gabinecie. Uznanie zyskała z wielkim trudem dopiero po pewnym czasie. Ale teraz ci, którzy z nią pracowali, nosili ją na rękach. Niemniej Nastia Kamińska ciągle czuła się niepewnie, obawiając się, że nie spełni pokładanych w niej nadziei.

Również i tym razem, siedząc w niskim fotelu przed schylonym nad nią szefem, spodziewała się usłyszeć od niego coś nieprzyjemnego. Ale się pomyliła.

– Nie podoba mi się sposób prowadzenia śledztwa w sprawie Filatowej – powiedział nagle Gordiejew.

Przechadzanie się po gabinecie zawsze oznaczało, że szef intensywnie myśli i jest w trakcie podejmowania decyzji. Wiktor Aleksiejewicz zatrzymał się i usiadł obok Nasti. Co znaczyło z kolei, że decyzja została podjęta.

– Od początku popełniono wiele błędów – ciągnął – większość jest już nie do naprawienia. Powiem w skrócie, o co chodzi. Filatowa przyleciała z delegacji w nocy z dwunastego na trzynasty. Zatrzymany podejrzany zeznał, że podwiózł ją z Wnukowa – było mu po drodze. Filatowa zostawiła mu dowód i weszła na górę do mieszkania po pieniądze. Po jakichś dwudziestu minutach znudziło mu się czekanie, zajrzał do dowodu, żeby sprawdzić numer mieszkania, i poszedł tam. Drzwi mieszkania nie były zamknięte, zamek ustawiono tak, żeby się nie zatrzasnęły. Filatowa leżała w kuchni obok

kuchenki bez oznak życia. Kierowca próbował robić jej sztuczne oddychanie, po czym wezwał pogotowie i zadzwonił na milicję. Dalej działały się rzeczy nie do pomyślenia. Na miejsce przyjechali dyżurni oficerowie operacyjni, Gołowanow i Bażow. Znasz ich. Wiesz, że obaj mają paskudny charakter, zwłaszcza Bażow. Kierowca na szczęście okazał się byłym milicjantem, pracuje teraz w jakiejś prywatnej firmie. No i zarabia odpowiednio. Dla Bażowa i Gołowanowa – to jak czerwona płachta na byka. Wczepili się więc w niego jak dwa bulteriery, nie uwierzyli ani jednemu jego słowu i zatrzymali na siedemdziesiąt dwie godziny. Ale najgorsze jest co innego. Kierowca zwrócił ich uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze: kiedy czekał w samochodzie na Filatową, widział wychodzącego z budynku mężczyznę. Po drugie: na kuchence stał ciepły czajnik. Jeśli kierowca nie kłamie, ktoś musiał czekać na Filatową w mieszkaniu. Nasi twardele się wściekli, że podejrzany wtrąca się w oględziny miejsca zbrodni, i zaczęli na niego wrzeszczeć. W protokole oględzin oczywiście nie ma tego ciepłego czajnika. Całkiem ich zaślepiała nienawiść do byłego kolegi, który zarabia teraz więcej od nich. W czasie oględzin miejsca zbrodni popełnili szereg błędów. Uczepili się tego, że na ciele nie ma śladów po porażeniu prądem, chociaż lekarz sądowy kilka razy im powtarzał, że tak bywa.

– Nie uwierzyli lekarzowi sądowemu? – zdziwiła się Nastia.

– A po co im lekarz, kiedy mieli w rękę podejrzanego?

– A mężczyzna, który wychodził z domu?

– Tym też się nie zajęli. Jeśli kierowca nie kłamie i mężczyzna rzeczywiście wychodził, to szedł albo z mieszkania Filatowej, albo z innego, akurat o porze, która nas interesuje. O trzeciej nad ranem panuje taka cisza, że słyhać najmniejszy szmer. Ten mężczyzna,

jeśli istnieje i jeśli nie jest zabójcą, może być cennym świadkiem. Ale co ich to obchodzi! – Gordiejew z rozdrażnieniem kopnął krzesło. – Krótko mówiąc, chcę żebyś się nad tym zastanowiła, Anastazjo. Jutro mają siedemdziesiąt dwie godziny i kierowca zostanie zwolniony. Jestem przekonany, że nic na niego nie znajdą. Informacje, które zdążyli zebrać w czasie weekendu, weźmiesz od Miszy Docenki. I niech on porozmawia z zatrzymanym tak, jak ty uznasz za stosowne.

– Może ja sama z nim rozmawiam, Wiktorze Aleksiejewiczu? – nieśmiało zaproponowała Nastia. – Będzie szybciej niż instruować Miszę. Jest zbyt zapalczywy.

– Miszę trzeba uczyć, a nie wykonywać za niego jego pracę – uciął Gordiejew. – Zabraniam ci rozmawiać z zatrzymanym. Nie po to tu jesteś.

Pułkownik nie potrafiłby chyba odpowiedzieć z przekonaniem na pytanie, dlaczego tak chroni Nastię Kamieńską, dlaczego chowa ją przed wszystkimi. Ale gdzieś głęboko w jego świadomości tkwiło prawie instynktowne przekonanie, że Nastia jest jego największym atutem. Popatrzywszy na zmartwioną twarz swej podwładnej, szeroko się uśmiechnął.

– Idź, dziecińko, i dobrze się zastanów – powiedział serdecznie. – Jutro mi powiesz, co wymyśliłaś.

Po wyjściu Kamieńskiej Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew znów zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. Musiał podjąć trudną decyzję: co robić z hipotezą o udziale bliskiego krewnego prezesa Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości w zgwałceniu dwunastoletniej Nataszy Kowalowej. Sama hipoteza wydała mu się obiecująca, ale nie chciał wciągać swoich chłop-

ców w żadne polityczne rozgrywki. Po krótkim namyśle postanowił przyjąć cios na siebie. Usiadł przy telefonie i wybrał numer. Dzwonił do swego dawnego przyjaciela Żeni Samochina z centrum prasowego MSW.

– Witia! – ucieszył się Samochin. – Kopę lat! Dzwonisz z pracy?

– Z pracy – potwierdził Gordiejew.

– To pewnie masz do mnie jakiś interes – doszedł do wniosku Samochin. – Mów od razu, czego chcesz, bo muszę zaraz lecieć.

– Żenia, potrzebuję informacji o Witaliju Jewgienjewiczu Kowalowie z kancelarii wicepremiera Awierina i o Winogradowie z FWP.

– A może chcesz też willę w Cannes i limuzynę?

– Żenieczka, będę ci bardzo wdzięczny. Nie proszę o wiele. Muszę tylko wiedzieć, czy się znają, jeśli tak, to w jakich są stosunkach, a jeśli nie, to gdzie mogą stykać się ich interesy. I to wszystko. Pomożesz, Żenia?

– Naprawdę nic na nich nie chcesz? – zapytał z niedowierzaniem Samochin.

– Nie. Interesuje mnie tylko, czy są jakoś ze sobą związani. Zrobisz to dla mnie?

– Tak. – Samochin westchnął. – Zadzwoń wieczorem do ciebie do domu.

Ale Gordiejew nie byłby sobą, gdyby na tym poprzestał. Nie bez kozery tyle opowiadano o jego nieufności. I nie chodzi o to, że nie wierzył ludziom. Po prostu nigdy nie zapominał o tym, że to, co prawdziwe i istotne – nie zawsze znaczy to samo.

Po wyjściu od szefa Nastia Kamieńska skierowała się do pokoju oficera dyżurnego, by przejrzeć zgłoszenia i księgę meldunków. Nikt nie potrafiłby powiedzieć,

czego Nastia właściwie szuka w tej stercie meldunków, być może ona sama tego nie wiedziała. Niemniej każdego dnia zaglądała do grubej książki i coś z niej przepisywała na kartce, robiąc jakieś notatki, które tylko ona rozumiała.

Po powrocie do siebie włożyła grzałkę do wysokiego ceramicznego kubka z wodą i wybrała numer wewnętrzny.

– Miszeńka, napije się pan ze mną kawy?

– Z przyjemnością, Anastazjo Pawłowno. Już lecę.

Za chwilę Misza Docenko wchodził już do gabinetu Nasti z filiżanką i pudełkiem cukru.

– A to po co? – Nastia z wyrzutem pokręciła głową.

– Przecież to ja pana zaprosiłam. Czy w gości się chodzi z własnym jedzeniem?

– Pani wie – zmieszał się Misza – że czasy są teraz trudne. Trzeba się pilnować, żeby nie wyjść na pieczeńiarza.

Nastia nalala kawy i przysunęła Miszy filiżankę i paczkę ciasteczek.

– Miszeńka, niech mi pan opowie o sprawie Filatowej. Na odprawie zabrzmiało to jakoś... niewyraźnie. Przyznam, że niewiele z tego zrozumiałam.

Docenko milczał w napięciu, wlepiwszy spojrzenie w parującą filiżankę. Nastia już chciała powtórzyć swoje pytanie, gdy nagle ją olśniło. No tak! Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć. Misza Docenko, mimo że pracował w ich wydziale od niedawna, miał reputację mistrza elokwencji. Potrafił świetnie poprowadzić rozmowę, każdego przegadać, jasno formułował myśli, wypowiadał się zwięźle i logicznie. Informacja padająca z jego ust nie mogła brzmieć niewyraźnie. Jeśli tylko... Jeśli tylko sam tego nie chciał. Wszystko wskazywało na to, że było to polecenie Gordiejewa. Widocznie ten nie życzył sobie, żeby jego podwładni po usłyszeniu szczegółów

zbrodni popełnionej na Filatowej w jej mieszkaniu „roznieśli” mało pochlebną opinię o Gołowanowie i Bażowie po całej Pietrowce. Dlatego również zatrzymał Nastię po radzie, nie dając jej polecenia przy wszystkich. Ależ spryciarz z tego Pączka! Trzyma karty przy orderach. Nikt nie wie, że ostrzy sobie zęby na przeciwników dużych zarobków. Nikt nawet się tego nie domyśla, ale Pączek nigdy im tego nie zapomni. Wyciągnie kartę w odpowiedniej chwili. Trzeba przyznać, że nigdy nie atakował pierwszy. Ale trzymał w zanadrzu duży zapas takich „kart” i „zębów” na wypadek, gdyby musiał bronić swoich chłopców.

– Miszeńka – roześmiała się Nastia – Wiktor Aleksiejewicz opowiedział mi o czajniku i o mężczyźnie, który wyszedł z bramy. Polecił mi wyciągnąć od pana jak najwięcej. A panu kazał porozmawiać z zatrzymanym. Niech więc pan nie ściemnia. Proszę mi powiedzieć, kim jest ta Filatowa.

Misza skoczył do siebie, przyniósł notatnik i zaczął opowiadać Nasti o wszystkim, czego się zdążył dowiedzieć, odkąd włączono go do sprawy.

Irina Siergiejwna Filatowa, trzydzieści sześć lat, wykształcenie wyższe prawnicze, doktorat na uniwersytecie, pracowała w Instytucie MSW od ukończenia studiów, czyli przez trzynaście lat. Mieszkała razem z ojcem, Siergiejem Stiepanowiczem Filatowem, w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu. Matka nie żyje. Filatowa była zameżna, ale rozwiodła się w 1984 roku, dzieci nie ma. Sąsiedzi niewiele potrafią o niej powiedzieć: głośnych imprez nie było, podejrzanych typów też nie. Ojciec był w sanatorium na Krymie od czwartego czerwca, przyleciał w sobotę. Podał nazwiska dwóch przyjaciółek córki i przynajmniej czterech mężczyzn, którzy w różnych okresach byli z nią związani. Nie udało się jak na razie z nimi porozmawiać – żadnego z nich

nie było w czasie weekendu w domu. Jak stwierdził ojciec, z mieszkania nic nie zniknęło, wszystkie pieniądze i cenne rzeczy są na miejscu. Był, nawiasem mówiąc, bardzo zdziwiony, że kuchenka elektryczna jest zepsuta. Przed jego wyjazdem do sanatorium wszystko było w porządku, jako inżynier jest o tym przekonany. Klucze do mieszkania mieli tylko on i córka. Nie wie nic o tym, żeby Irina dawała komuś klucze, u nich w rodzinie nie było to przyjęte.

– Dobrze – powiedziała Nastia. – Teraz zatrzymany kierowca. Co o nim wiadomo?

– Wszystko, o czym mówił, zostało jak dotąd potwierdzone. Rzeczywiście odprowadzał faceta na Wnukowo, na samolot o drugiej czterdzieści pięć trzynastego czerwca. Bilet został kupiony tydzień wcześniej, szóstego czerwca. Fiłatowa polecała w delegację do Krasnodaru, powinna była wrócić dwunastego koło dziewiętnastej, ale ze względu na deszcz Moskwa nie przyjmowała, samolot wylądował na Wnukowie dopiero o pierwszej czterdzieści w nocy. Spotkanie Zacharowa z Fiłatową na lotnisku nie mogło więc być zaplanowane.

– Jak pan powiedział? – ożywiła się Nastia. – Zacharow?

– Zacharow Dmitrij Władimirowicz, pracownik prywatnego biura ochroniarskiego, do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku pracował w trzydziestym piątym komisariacie milicji.

– Zacharow... – Nastia westchnęła. – To ten Zacharow. Szkoda.

– Zna go pani? – zdziwił się Docenko.

– Znałam go, ale nie za dobrze. Pamiętam, że zawzięty, lubiący ryzyko, poszukiwacz przygód. I zawsze chciał mieć pieniądze. Mógł się wplątać w coś podejrzanego, ale nie dlatego, że jest złym człowiekiem, tylko przez swoją naturę hazardzisty i ryzykanta.